

*Tajemnica
Swastyki*



Mariusz Kwiatkowski

Mariusz Kwiatkowski

TAJEMNICA SWASTYKI

© Copyright by Mariusz Kwiatkowski & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Paulina Żuchowska
ISBN 978-83-63080-83-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

Rozdział I

W piękny listopadowy dzień górską drogą prowadzącą do Obersalzbergu – małej wsi położonej w Alpach Bawarskich – jechało kilka samochodów. W pierwszym z nich siedział kanclerz III Rzeszy, Adolf Hitler. Tylnie miejsca zajęli: Albert Speer, niegdyś architekt a obecnie minister uzbrojenia i Karl Brandt, lekarz przyboczny fuehrera, oraz kamerdyner.

Brandt nigdy nie jechał tym samym wozem co kanclerz. Tym razem sytuacja była inna. Parę dni wcześniej generał Kurt Zeitzler, szef Sztabu Generalnego Wojsk Lądowych, nalegał, aby Hitler natychmiast wycofał szóstą armię spod Stalingradu. Kanclerz nie wyraził zgody. Wieczorem, zdenerwowany dyskusją z generałem, poczuł się źle. Przez następny tydzień, w obawie o swoje zdrowie, trzymał Brandta w pobliżu.

W dalszych autach jechali między innymi reichsleiter Martin Bormann, szef Kancelarii Partii, i Ewa Braun, szczupła niepozorna blondynka. Od paru lat nieodłączna towarzyszka życia fuehrera. Kolumnę zamykał samochód z pięcioma silnymi mężczyznami z ochrony.

Hitler mówił niewiele. Myśłami wciąż wracał do dyskusji z generałem Zeitzlerem. Jak ten typ mógł z nim tak rozmawiać? Z nim, wodzem Niemiec! Jaka bezczelność! Jaki tupet!

– Mein fuehrer! – mówił wówczas, a raczej krzyczał Zeitzler – nie ma paliwa! Żołnierze głodują! Zamarzają w okopach! Niemożliwe, by to przeciągać!

Pragnął natychmiast go rozstrzelać. Jednak zachował spokój.

– Proszę posłuchać, panie generale!– rzekł zimno.– Zaczynałem swego czasu od niczego, jako nieznanym nikomu żołnierz. A zacząłem dopiero wtedy, kiedy wszyscy inni, którzy wydawali się znacznie bardziej powołani do kierowania niż ja, zawiedli. Ja miałem tylko wolę i zrealizowałem swoje zamierzenia. Całe moje życie dowodzi, że nigdy nie kapituluję. Trzeba uporać się z zadaniami wojennymi. Powtarzam: dla mnie nie istnieje słowo „niemożliwe”! Słyszysz pan! Nie istnieje!

Na szczęście nazajutrz w pokoju narad sytuacyjnych pojawił się marszałek Hermann Goering, wódz naczelny lotnictwa, i obiecał zaopatrzyć szóstą armię.

Kanclerz ocknął się z rozmyślań. Przyglądał się mijanym okolicom. Tyle razy przejeżdżał tą trasą, a wciąż na nowo podziwiał piękno gór, surowe i tajemnicze.

– Speer!– powiedział nagle– kiedyś nasze budowle będą równie majestatyczne jak te szczyty. Opowiedzą naszym potomkom o chwale i sile ich przodków.

Speer milczał.

Wątpił coraz częściej w słowa fuehrera. Były to niewielkie wątpliwości. Drobnie przebłyski niezadowolenia, niekiedy dziwnego żalu za przeszłością, gdy wraz z Hitlerem oglądał modele budowy przyszłego Berlina. Wódz godzinami wpatrywał się w makiety. Badał najdrobniejsze szczegóły, a potem w nieskończoność o nich dyskutował.

Jednak tamte czasy były inne. Ludzie w każdej miejscowości witali Hitlera z takim entuzjazmem, z taką miłością, jakich nie doświadczył do owych dni żaden polityk niemiecki. Nic dziwnego, Fuehrer zagubionym, rozczarowanym Niemcom dał wiarę. Dał nadzieję. Sprawił, że podnieśli głowy do góry. Nie byli już tymi, którzy przegrali wojnę. Nie byli nędzarcami. Nie byli bezrobotnymi. Byłi synami wielkiego narodu, szanowanego przez najpotężniejsze mocarstwa.

A potem wybuchła wojna.

Speer nie wracał we wspomnieniach do zwycięstw. Tak licznych w pierwszych latach walki. Zastanawiał się nad paroma wydarzeniami, które, złączone razem, niepokoiły.

Pierwszym z nich był nalot angielskich bombowców na Kolonję w nocy z 30 na 31 maja czterdziestego drugiego roku. Miasto doznało olbrzymich strat. A Goering udowodnił, że nie umie skutecznie bronić kraju przed nieprzyjacielskimi samolotami. Goering, który jeszcze niedawno obiecywał fuehrerowi, że nawet jedna bomba nie spadnie na Rzeszę.

Następne zaistniało 7 listopada tego samego roku.

Towarzyszył wtedy Hitlerowi w specjalnym pociągu do Monachium. Skład był opóźniony, bo na każdej większej stacji kanclerz odbierał najnowsze meldunki z frontu. Niegdyś przy takich okazjach fuehrer chętnie pokazywał się w oknie, aby zamienić parę słów z przygodnymi ludźmi. Wraz z nastaniem problemów zaprzestał tego zwyczaju. Surowo kazał zasłaniać okno. Tamtego wieczoru kamerdyner przez nieuwagę pozostawił je odkryte. Podano sutą kolację, dobre wino. Nikt nie zauważył, że obok zatrzymał się pociąg towarowy. Wiózł niemieckich żołnierzy prosto z frontu. Wymizerowani, głodni, często ranni przypatrywali się swemu fuehrerowi.

Hitler, gdy tylko dostrzegł ten widok, natychmiast kazał zasłonić okno.

Trzecim wydarzeniem był Stalingrad. Niepowstrzymana do tej pory armia niemiecka utknęła tam na dobre. Nic nie zapowiadało zmiany na lepsze. Na domiar złego w stalingradzkich okopach walczył jego brat.

Czwartym, tym najgorszym, stawały się coraz śmielsze poczynania Martina Bormanna. W dodatku Hitler nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Najpewniej nikomu nie ufał tak bardzo.

Speer ciężko westchnął. Szanse na jakiegokolwiek zmiany wydawały się niewielkie.

Marta Esser uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. W nowej sukni wyglądała ślicznie. Jej ciemnozielony kolor współgrał z kolorem jej oczu, przyprawiających tak wielu mężczyzn o szybsze bicie serca. Wydawały się przechowywać w sobie jakąś niezgłębianą tajemnicę. Niekiedy patrzyły filuternie i ciepło. Innym razem zimno. Uroku dodawały im włosy, które złotomiedzianymi falami spadały na ramiona, obejmując zgrabną sylwetkę zwiewną aureolą. W dotknięciu były delikatne i kruche. Pachniały czymś nieokreślonym, lecz przyjemnym.

Lubiła dzień swoich urodzin. Miała dopiero dwadzieścia trzy lata. Nigdy nie zastanawiała się nad względnością czasu. Jeśli nawet kiedyś jej sprawi problemy, jeśli się postarzeje, to nastąpi to w dalekiej przyszłości. Po co o tym myśleć? Żyła chwilą, czerpiąc z niej pełnymi garściami.

Za mąż wyszła nie z miłości. Kurt był starszy od niej o dwadzieścia lat. W dodatku jego męska uroda pozostawiała wiele do życzenia: niski, nieco łysiejący, z wydatnym brzuszkiem – nie przedstawiał sobą nic interesującego.

Ale należał do jednej z najbogatszych rodzin w Niemczech i posiadał tytuł barona. Po śmierci ojca został właścicielem i udziałowcem wielu zakładów. Dojście Hitlera do władzy umocniło jego pozycję, ponieważ od razu opowiedział się po stronie narodowych socjalistów. Przekazywał na konto partii całkiem pokaźne sumy pieniędzy. Dzięki temu zyskał dodatkowe wpływy oraz korzyści. W jego fabrykach pracowali robotnicy z podbitych krajów, rzecz jasna za darmo.

– Marto, kochanie! – zawołał z drugiego pokoju Kurt – pośpiesz się. Jest późno. Niedługo przyjdą goście. Z Obersalzbergu zadzwonił pan Bormann. Będzie dzisiaj nieobecny. Zatrzy-

mały go ważne sprawy państwowe. Kazał cię pozdrowić i złożyć ci najlepsze życzenia.

Uśmiechnęła się lekko do swego odbicia w lustrze. Jej mąż był taki naiwny. Nic a nic nie podejrzewał. A przecież ona i Martin już od roku ze sobą romansowali.

Nie był jej jedynym kochankiem. Niedawno poznała Hansa Wenera. Nie należał do bogaczy. Pracował jako dziennikarz i poza swoim zawodem świata nie widział. Zafascynowały ją jego energia, spryt, inteligencja, męskość. Wreszcie potrafił tak cudownie kochać. Pod tym względem wydawał się niepowtarzalny.

Hans często gościł u niej wraz ze swoją żoną, Helgą– niską, niepozorną kobietą. Na dzisiaj także zostali zaproszeni. Ale pani Werner musiała zostać w domu. Dziwną przyjemność sprawiało jej obserwowanie tej kobiety, świadomość przewagi nad nią. Trochę to przypominało grę w szachy. Rola królowej należała do niej.

Wzdrygnęła się. Na ramionach poczuła ciepłe dłonie Kurta.

– Kochanie, jesteś taka śliczna– szepnęła cicho– taka cudowna.

Pieścił delikatnie jej szyję. Jego palce zsuwały się coraz niżej
Oddychał szybko.

– Proszę cię, przestań– odsunęła się na bok.– Przecież wkrótce przyjdą goście.

Pokój zasnuwał gęsty nikotynowy dym. Światło niewielkiej lampki stojącej na stoliku wydobywało z półmroku zarys mebli. Nie było w tym pomieszczeniu ani nic szczególnego, ani rzucającego się w oczy.

Heinrich Mueller– szef wydziału Tajnej Policji Państwowej, w skrócie zwanej Gestapo– rozparł się na krześle i patrzył za-

myślony na tłący się jeszcze niedopałek. Niedbale sięgnął po leżącą przed nim paczkę papierosów. Wsunął jednego z nich do ust. Wyciągnął z szuflady zapalniczkę. Przez sekundę obserwował przymrużonymi oczyma jasny płomień.

Lubił ogień. Fascynowała go jego siła i zmienność, oraz ciągle odradzanie. Gdy był małym chłopcem, nieraz marzył, aby w cudowny sposób weń się przeistoczyć. Niszczyć równie skutecznie i bezlitośnie.

Stare zamierzchłe czasy.

Teraz miał inne problemy, niż głupie dziecięce rojenia. Poza tym zrealizował swoje sny o potędze. Należał do wpływowych ludzi. Wiele osób drżało na dźwięk jego imienia. Lecz mężczyzna, który nagle nim się zainteresował, skupiał w swoich rękach jeszcze większą władzę. Mueller sądził nawet, że po Hitlerze największą.

Tym człowiekiem był Martin Bormann, który zadzwonił do niego, prosząc o pilne spotkanie w Obersalzbergu. Dodał, że tam można rozmawiać bez obaw. Czego chciał? Co pragnął osiągnąć?

Mueller nie znalazł odpowiedzi na te pytania.

Po tamtym telefonie wprawił w ruch całą podległą sobie machinę. Na wszystkie możliwe sposoby zbierał wiadomości o Bormannie. Oczywiście dyskretnie, bez najmniejszego rozgłosu. Tym niemniej sądził, że tamten o tym wie. A przynajmniej się domyśla. W każdym razie szef partii zachowywał spokój. Nie uczynił nawet jednego kroku przeciw niemu. Najwidoczniej rzeczywiście go potrzebował.

Im więcej docierało do niego informacji o Bormannie, tym bardziej go cenił. Obaj zaczynali od zera. Obaj sukcesy zawdzięczali wyłącznie sobie. Mueller przypuszczał, że na drogę do kariery Bormann wkroczył atakując swojego szefa, Rudolfa Hessa, wtedy przywódcę partii i bardzo bliskiego współpracownika Hitlera. Ucieczka Hessa w 1941 roku do Anglii zasko-

czyła wszystkich. Kanclerza doprowadziła wręcz do ataku szału. Wydano oświadczenie, że niemiecki dostojnik zwariował. To Bormann je wymyślił, a Fuehrer prędko zaakceptował. Nie było to trudne— Hess z upodobaniem zajmował się okultyzmem i astrologią. Podobno sam się chwalił, że ma kontakt z duchami. Mueller uśmiechnął się lekko. „Co za głupota”— pomyślał.

Bormann zaś, dzięki sprytnym poczynaniom, wkrótce zajął przy Hitlerze naczelne miejsce. Decydował prawie o wszystkim. Przez jego ręce przechodziły najważniejsze dokumenty. On dostarczał je kanclerzowi do podpisu lub też nie. On zajmował się finansami. On rozstrzygał o tym, kogo Fuehrer przyjmie na audiencji.

I towarzyszył Hitlerowi wszędzie: w kancelarii, w podróży, na froncie, przy posiłku. W grubym notesie notował każdą jego uwagę, każdą dyrektywę. Dzień pracy kończył zazwyczaj wczesnym rankiem. Nigdy nie brał dłuższego urlopu, bo obawiał się, że ktoś może wykorzystać jego nieobecność, aby go wyeliminować z gry

Pomimo sukcesów był skromny i uczynny. Nie wysuwał się na czoło. Pozostawał w cieniu. Stamtąd działał.

Takie postępowanie miało wiele zalet. Na pewno pozwalało na różnego rodzaju manipulacje.

Energiczne pukanie do drzwi przerwało rozmyślania Mullera.

– Wejść!— rozkazał.

Na progu stanął Paul Kaiser. Jeden z jego najmłodszych i najzdolniejszych oficerów. Wysoki, nawet bardzo wysoki blondyn o nieprzeniknionym wyrazie twarzy. Posiadał stopień untersturmfuehrera SS. Ale już wkrótce czekał go awans.

– Heil Hitler! panie...

– Niech pan siądzie– przerwał mu Mueller.– Jestem tutaj dosyć długo i czuję się już zmęczony... Dlatego chciałbym wreszcie wylądować w łóżku... Proszę nie zabierać mi czasu formalnościami. Czy odkrył pan coś nowego?

Kaiser zajął miejsce na wskazanym krześle. Przez moment milczał.

– Znalazłem parę rzeczy– powiedział cichym, spokojnym głosem.– Czy pan słyszał, panie gruppenfuehrer, o stosunkach pomiędzy reichsleiterem Bormannem a jego bratem, Albertem?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Wiem tylko, że Albert jest jednym z adiutantów fuehrera.

– Właśnie. Obaj Bormannowie są ze sobą skłóceni. Bardzo często spotykają się na naradach służbowych lub odprawach. Pomimo to nie zamieniają ze sobą nawet słowa. Ten stan trwa od dosyć dawna.

– Co go spowodowało?

– Znam tylko plotki.

– Proszę je powtórzyć.

– Podobno reichsleiter nie zaakceptował przyszłej żony brata. Lecz nie wiem z jakich powodów...

– A jakie, według pana, płyną stąd wnioski?

– Żona Alberta Bormanna... Musiało być coś brudnego w jej życiorysie. Reichsleiter zapewne obawiał się, że ktoś może to wykorzystać.

– Sprawdził to pan?

– Nie mogłem posunąć się aż tak daleko...

– Rozumiem. W każdym razie musimy pamiętać o problemach rodzinnych państwa Bormannów. Co jeszcze?

– Reichsleiter często zdradza swoją żonę...

– I cóż z tego? Robi to większość mężczyzn.

– Tak. Ale jego kochanka nazywa się Marta Esser!

– Żona tego przemysłowca?

– Tak.

– To istotnie ciekawe. Ten człowiek jest dobrym znajomym marszałka Goeringa, który nienawidzi Martina Bormanna. Może kiedyś to nam się przyda.

– To nie wszystko. Obok tej pani kręci się niejaki Hans Werner. To pionek. Nie reprezentuje sobą nic ciekawego. Jest podrzędnym pismakiem w „Voelkischer Beobachter”

– Jeśli pracuje w dzienniku partyjnym, to tym samym musi być członkiem partii...

– Jest, ale dopiero od roku. Moim zdaniem nie wstąpił do niej ze względu na przekonania. Interesuje go władza i kontakt z elitą. Być może znajomość z panią Esser wykorzystuje do zbierania informacji.

– W takim razie jest nieostrożny. Należy przyjrzeć mu się bliżej. Może wie coś, co zainteresuje również nas. Dobrze, Kaiser! Czy jeszcze coś pan ma?

– Na razie nie.

– Może pan się odmeldować.

Zmierzchało. Pogodny wieczór niósł orzeźwiający zapach lasu. W dali, zza drzew, przeblyskiwała tafla jeziora. Pod nogami pękały co chwila gałązki, zakłócając tym dźwiękiem ciszę.

– Tak tu pięknie!– powiedziała Marta.– Zawsze pragnęłam mieszkać w takim miejscu. Jaka szkoda, że przyjeżdżam tu z Kurtem tylko raz na jakiś czas, aby odpocząć. Za trzy dni wracamy już do Berlina. Ostatnio, jak na złość, nic ciekawego się tam nie dzieje.

Hans milczał. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek dojdzie do takiego bogactwa jak Kurt Esser. Nienawidził ludzi bogatych wprost obsesyjnie. Nienawiść ta wynikała stąd, że urodził się

jako nieślubne dziecko bardzo biednej kobiety, która próbowała na wszelkie możliwe sposoby usunąć niepożądaną ciążę.

Nie udało jej się. Dane mu było żyć. Lecz cóż to było za życie. Matka natychmiast po urodzeniu porzuciła go pod jakimś śmietnikiem, gdzie znalazła go kobieta równie biedna, a może nawet biedniejsza, za to na pewno lepsza jako człowiek.

Wychowywał się w strasznych warunkach. Kiedyś przypadkiem usłyszał rozmowę, z której wynikało, że jest podrzutkiem. Usłyszał też imię oraz nazwisko swojej prawdziwej matki.

Po trzech nieprzespanych nocach, pełnych bólu i udręki, oprzytomniał. Postanowił ją odszukać. Znalazł już na łożu śmierci, gdy godziła się z Bogiem, spowiadając ze swoich nieudanych i zagmatwanych losów. Chyba tylko dzięki temu zdradziła mu imię ojca. A może w ten sposób chciała ukarać człowieka, który jeden jedyny raz okazał jej zainteresowanie, zostawiając potem bez skrępułów...

Odszukał ojca, który był wziętym berlińskim adwokatem i pewnie dlatego nie potrzebował problemów. Pieniądze, przekazywał je co miesiąc, zapewniły Hansowi znośne życie. Nie musiał dalej znosić kpin bogatszych kolegów i pogardliwych spojrzeń dorosłych.

– Zazdrościsz ci tego miejsca– odparł zamyślony.– Może nawet nie tej pięknej posiadłości, ale jeziora i lasu. Ciszy i spokoju.

– Udajesz– roześmiała się nieco lekceważąco.– Wiem, że udajesz. To właśnie majątku zazdrościsz mi najbardziej. Dlaczego się tego wstydzisz ? Przecież widzę twoje spojrzenia na mury, winorośle, wodę w basenie, meble. Dążysz do tego samego co ja, czyli do bogactwa. Nie różnimy się od siebie. Tylko ja płacę inną cenę, ponieważ jestem kobietą. Ale ty tego nie zrozumiesz...

– Rozumiem.

– Tak tylko ci się wydaje. Za kogo ty chcesz uchodzić? Za jedynego sprawiedliwego i uczciwego? Nie jesteś nim. Gdzie twoje wyrzuty sumienia, że zdradzam z tobą Kurta? Tak jak z tym, pogodzisz się z innymi rzeczami. Taka jest cena wejścia do mojego świata. A ty, tak sędzę, chcesz tu wejść.

– Tak, chcę. Lecz muszę pozostać sobą.

– Nie mówmy już o tym. Wieczór jest za piękny, ażeby go psuć. To wieczór moich urodzin. To dzień radości...

– Zależy mi na tobie, Marto!– przerwał Hans.

– Ale– nie zwróciła uwagi na jego słowa– jest mi tak smutno. Mam przeczucie, że coś się kończy...

– To tylko przeczucie...

– Moje przeczucia zawsze się sprawdzają...

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Sama powiedziałaś, że wieczór jest za piękny, aby go psuć.

Przedzierała się przez gęste świerki. Po chwili stanęli nad brzegiem jeziora. Był to typowy leśny akwen, niezbyt duży i bardzo ładnie położony, zewsząd otoczony lasem, a po przeciwległej stronie zamknięty stromym wzgórzem.

Oboje przykucnęli nad wodą.

Czerwony olbrzymi krąg słońca nikał powoli wśród drzew barwiąc swoim odbiciem toń jeziora. Wśród gęstych trzciny zabrzmiało rechotanie żaby. Powiał lekki wietrzyk.

To było ich miejsce. Tutaj kochali się najczęściej zapominając o całym świecie, pogrążając się w dzikiej, nienasyconej namiętności prowadzącej do obłędu i do zatracenia.

Hans wstał. Podeszedł do Marty. Pochylił się nad nią, złapał ją pod pachy i pociągnął ku sobie, opierając o pień drzewa. Jego ręce delikatnie rozgrzewały ciało kochanki. Błądziły po szyi, po piersiach.

Marta pozwoliła się ponieść fali pożądania.

Kiedy wracali, zrozumiała, jak bardzo jest nieostrożna. Spacer trwał stanowczo za długo. Nie warto było tak ryzykować dla paru chwil uniesień.

Martin Bormann obudził się wcześniej rano. Rozespany spojrzął na budzik. Była piąta. Od razu poprawił mu się humor. Hitler wstawał zwykle około dwunastej. Miał więc trochę czasu dla siebie. Przede wszystkim postanowił rozejrzeć się po Obersalzbergu.

Ta piękna górzysta kraina– niegdyś cicha i spokojna, zanurzona w zieleni lasów, poprzecinana górskimi strumykami, otoczona jeziorami– stała się dzięki niemu miejscem odpoczynku Fuehrera oraz jego świty.

Bormann wykupił od miejscowej ludności ziemię. Zaczął prace budowlane, nie zwracając najmniejszej uwagi na koszty i przyrodę. Leśne drogi pokrył asfalt. Jak grzyby po deszczu wyrosły wille, hotele, garaże i baraki dla pracowników.

Fuehrer z początku mieszkał w dosyć skromnym domu, do którego prowadziła kręta, wyłożona asfaltem droga, dochodząca do windy znajdującej się wewnątrz skały. Potem uznał, że należy zbudować bardziej reprezentacyjny ośrodek. Sam wykonał projekt pożyczonymi od Speera przyborami. Tak powstała willa zwana Berghofem.

Bormann był bardzo zadowolony ze swojego dzieła. Naprawdę sobą pozostawał tylko tutaj, gdzie– niczym nieskrępowany– oddawał się swoim zainteresowaniom.

Zajmował dwupiętrowy szeroki budynek, który wybudował pewien lekarz i przeznaczył go na dziecięce sanatorium. Bormann kiedy nabył dom, zadbał, aby zamienił się w wykwintną willę. Na zewnątrz, obudowana drewnem, wyglądała skromnie.

Natomiast w środku nie zabrakło pięknych i cennych mebli, drogich obrazów, marmurów, srebra, a także porcelany.

Niedaleko był Berghof.

Podszedł do barku. Zawsze z samego rana wypijał łyk dobrego francuskiego koniaku. Francja, według niego, była godna zainteresowania wyłącznie z dwóch powodów: kobiet oraz alkoholu.

Przy degustacji trunku lubił się zastanowić nad swoimi poczynianiami w ciągu najbliższych tygodni. Za parę dni, uważał to za ważne, zaplanował spotkanie z szefem gestapo, Heinrichem Muellerem.

W czasach kiedy Hitler walczył o władzę, Mueller znajdował się po przeciwnej stronie barykady. Pracował w monachijskiej dyrekcji policji, z wielkim zaangażowaniem ścigając członków NSDAP.

Nawet Bormann był przez niego przesłuchiwany. Zapamiętał go jako niewysokiego krępego mężczyznę o kwadratowej głowie i wystającym czole. Pamiętał brązowe przenikliwe oczy przysłonięte nerwowo poruszającymi się powiekami. Pamiętał krótkie precyzyjne pytania i chrapliwy głos z bawarskim akcentem.

Ale było coś znacznie ważniejszego niż spotkanie— była sprawa Angielki,

Unity Mitford, którą poznał jeszcze przed wybuchem wojny z Polską. Do Niemiec zaprosił ją sam Hitler, pragnący w ten sposób zbliżyć się do angielskich faszystów, gdyż lady Mitford była szwagierką ich przywódcy, Oswalda Mosleya.

Po raz pierwszy spotkali się w Monachium. Przyjechał wówczas z fuehrerem do profesora Troosta: wtedy pierwszego architekta Rzeszy. Potem pojechali do ulubionej przez kanclerza restauracji „Ostera Bavaria”. Zwykle schodzili się tam malarze, poeci i pisarze. Ich zarośnięte twarze i niedbałe ubrania wytwa-

rzały szczególny nastrój. Hitler, niegdyś sam pragnący zostać artystą, najwidoczniej dobrze się czuł wśród takich ludzi.

Był piękny letni dzień. Siedzieli na dziedzińcu restauracji w małej altance, przy której biło źródło.

– Co dziś dobrego, panie Deutelmoser – przywitał się z kelnerem Hitler. – Ravioli? Gdybyście tylko nie przyrządzali tak smacznie. Jest za nęcące. Wszystko byłoby pięknie, ale moja linia! Zapomina pan, że fuhrer nie może jeść tego, na co miałby ochotę.

Potem przeglądnął jadłospis i zamówił ravioli.

Przy stole nie mówili o polityce. Jedynym wyjątkiem była lady Mitford. Już zawczasu oczekiwała na kanclerza. Kiedy zaprosił ją do stolika, prawie natychmiast zaczęła dyskutować o przymierzu pomiędzy Niemcami a Anglią. Pragnęła tego z całego serca.

Hitler rozmawiał z nią bardzo grzecznie i spokojnie. Wypytywał o nastroje w Anglii. Informował o swoich odczuciach odnośnie angielskiej polityki. I był miss Mitford, Bormann dostrzegł to szybko, wyraźnie zainteresowany. W tym przekonaniu utwierdziła go Ewa Braun, darząca Angielkę wyjątkową niechęcią.

Wkrótce zauważył coś, co zostawił wyłącznie dla siebie. Była to potworna tajemnica. Ujawnienie jej groziłoby ogromnym skandalem. Udało mu się ją ukryć. Nie wiedział o niej nawet Hitler.

Nieoczekiwanie pomógł mu wybuch wojny. Gdy Anglia stanęła po stronie Polski, Unity Mitford usiłowała popełnić samobójstwo za pomocą pistoletu w Ogrodzie Angielskim w Monachium.

Hitler oddał ją w ręce najlepszych lekarzy. I za jego namową polecił specjalnym samochodem zawieźć przez Szwajcarię do Anglii.

On, Martin Bormann, rzadko popełniał błędy. Na szczycie władzy płaciło się za nie w najlepszym przypadku odejściem w tło, w najgorszym – życiem.

A teraz pozwolił sobie na tak fatalny ruch! Dlaczego go uczynił? Czy stała za tym jego samotność i brak jakiegokolwiek przyjaciela? Oczywiście byli Keitel i Lammers. Ale ich mógł traktować co najwyżej jako politycznych sojuszników. Układy pomiędzy nimi a nim były dobre, dopóki łączyły ich wspólne cele. W dodatku wyrobił sobie u Hitlera znacznie lepszą pozycję. To oni potrzebowali bardziej jego, niż on ich.

Tak, okazał słabość. Pocieszał się, że jej rezultaty dostrzegł wystarczająco szybko. Był jeszcze czas na to, aby wszystko naprawić.

W willi Esserów pojawili się już prawie wszyscy goście. Większość z nich bawiła się w salonach. Niektórzy, korzystając z dobrej pogody, wyszli na dwór, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Służący roznosili na tacach alkohol.

Byli tu różni ludzie: politycy, kupcy, właściciele fabryk, artyści, wojskowi. Łączyła ich przynależność do partii, bezgraniczna wiara w fuehrera i ojczyznę.

W jednym z salonów rozbrzmiewała muzyka. Zwabiony jej pięknymi dźwiękami wszedł do środka major Wehrmachtu wraz z żoną.

– Popatrz – powiedział do niej – jak oni żyją. I to jest tylko letnia rezydencja. Ile tutaj bogactwa. Jakie piękne meble. Oni nie wiedzą, co znaczy front. Ja już zapomniałem o takim życiu. Za tydzień kończy mi się urlop... Znowu wracam do tego piekła... Oni zaś będą tu sobie beztrudnie spędzali czas i chwalili męstwo żołnierza niemieckiego.

– Daj spokój, Karolu! – odparła. – Lepiej zatańczmy.

Kurt Esser stał przy kominku. Obserwował wirującą po parkiecie żonę. Martwiło go, że przed chwilą ją zostawił. Musiał, bo zabolalo go serce. Czuł teraz jego przyspieszone bicie. Uderzenia dzwoniły dziwnym, powracającym echem. Przed oczyma wirowały ciemne plamy.

Wolno, od niechcienia, tak aby nikt nie dostrzegł, że ma kłopoty ze zdrowiem, skierował się ku drzwiom. Gdy do nich dotarł, raz jeszcze spojrzął na Martę. Świadomość, że nie popsuł jej urodzin, dodała mu otuchy.

– Karl– szepnął do przechodzącego obok służącego– zadzwoń natychmiast po mojego lekarza. Niech przyjedzie najszybciej, jak będzie mógł.

Tymczasem oficer Wehrmachtu tańcząc z żoną przyglądał się Esserowi.

– Popatrz tam!– skinął lekko głową.– Widzisz tego niewysokiego mężczyznę? To właśnie pan Esser. Pracowałem kiedyś u niego, nim zaciągnąłem się do armii. Przypadkiem spotkałem go na ulicy. Gdy się dowiedział, że jestem na froncie, a teraz przez parę dni odpoczywam, zaprosił mnie tutaj. Widzisz tę młodą dziewczynę w ciemnozielonej sukni? To jego żona. Podobno była kiedyś tancerką w nocnym klubie, a później drugorzędną aktoreczką.

– Jest pomiędzy nimi duża różnica wieku– zauważyła.– Wydaje mi się, że za duża...

– To prawda.

Orkiestra skończyła grać. Hans podziękował Marcie za taniec i odszedł na bok. Dostrzegł Kurta, gdy wychodził. Wydało mu się to podejrzane. Esser uwielbiał dobrą muzykę. Dlaczego więc zniknął?

Do Marty zbliżyła się niewysoka, szczupła i ciemnowłosa dziewczyna w jej wieku. Uściskały się czule.

– Greto!– zawołała prawie z gniewem Marta.– Zjawiasz się dopiero teraz?! Czy zawsze musisz się spóźniać? Wiesz przecież, jak tego nie lubię... Ale pomimo to cieszę się, że jesteś!

– Jak możesz, kuzyneczko, tak na mnie narzekać. Nawet nie wiesz, jak bardzo się do ciebie śpieszyłam. Zostawiłam wszystko i wszystkich, nawet mojego narzeczonego.

Marta krzyknęła radośnie. Złapała ją za ręce.

– Zaręczyłaś się! To cudownie. Jak on ma na imię?

– Otto.

– Jest przystojny?

– Bardzo... I wysoki!

– Och, Greto! Dlaczego go z sobą nie zabrałaś?...

– Bardzo chciałam, ale on nie mógł. Jego ojciec jest chory, więc został przy nim. Dużo mu o tobie opowiadałam...

– Co robi ten twój Otto?

– Jest nauczycielem.

– W takim razie to na pewno mądry i inteligentny mężczyzna?

– Owszem!

Greta spojrzała domyślnie na Hansa, szturchając kuzynkę lekko łokciem.

– A ten przystojniak, z którym tak ładnie tańczyłaś, do którego tak ładnie się uśmiechałaś, to kto?

– To tylko znajomy mój i Kurta. Tańczy rzeczywiście świetnie. A poza tym to mój obowiązek, Greto, zabawić towarzystwo, zwłaszcza dzisiaj.

Werner podszedł do grupy gości. Wielu z nich znał. Po wymianie paru konwenansów zamilkł. Przysłuchiwał się rozmowie zerkając od czasu do czasu na Martę. Widział jej radość, gdy spotkała kobietę, z którą teraz dyskutowała. O czym mówiły? Na pewno o czymś błahym, bez większego znaczenia.

Pomyślał o swojej rodzinie. Jak to się stało, że tak daleko odszedł od normalnego życia? Walczył przecież o idee mu bli-

skie. Wierzył w nie. Ufał ludziom, którzy mu je objawili. Dzięki nim pojął, że przyszłość leży nie w faszyzmie, lecz w komunizmie. Tylko dlaczego postępował wbrew sobie? Dlaczego wstydził się swoich zachowań? Owszem, można powiedzieć: to dla sprawy. Jednak podobnie twierdzili jego przeciwnicy. I nawet nie chodziło o to. Rzecz w tym, że brnął coraz dalej w niedomówienia, w kłamstwa. A pamiętał słowa pewnego starego Żyda, wywiezionego niedawno do obozu, że na oszustwie nic dobrego się nie zbuduje. Słowa te wprawdzie dotyczyły czegoś zupełnie innego, ale co to za różnica?... łajdactwo zawsze pozostaje łajdactwem.

Nie kochał Marty. Ona jego chyba również. Tylko to on ją wykorzystywał. Była mu potrzebna do zdobycia informacji, które przekazywał dalej. Może nawet postępowała uczciwiej, bo była młoda i trochę nieobliczalna, spragniona tych wszelkich uciech niesionych przez życie. Zapracowany mąż nie potrafił zaspokoić jej oczekiwań. Ale przynajmniej darzył ją uczuciem. Natomiast jemu podawał w dobrej wierze dłoń, patrzył w oczy, zapraszał w odwiedziny. Pomagał...

– Przepraszam pana!– ktoś go dotknął z tyłu.– Czy pan Hans Werner?

Odwrócił się. Stał przed nim służący. Jego oczy miały charakterystyczny wyraz zadowolenia, zdradzający, że nie tylko ich właściciela dręczą najróżniejsze problemy, innym też się przydarzają. Co zawsze jest pewnym pocieszeniem.

– Tak, to ja!– odparł.– O co chodzi?

– Przykro mi, proszę pana. Był telefon z Berlina od pańskiego szefa, który powiedział, że bardzo pana potrzebuje. Prosił, aby natychmiast pan wyjechał.

Werner uśmiechnął się lekko. To zdarzało się często. Zawsze zostawiał w redakcji wiadomość, gdzie go można odnaleźć. Przywykł do takich sytuacji.

– Dziękuję!– skinął służącemu głową.

Podszedł do Marty.

– Pozwolisz, Greto– powiedziała do kuzynki– że przedstawię ci pana Hansa Wernera. Jest dziennikarzem, dobrym dziennikarzem.

– Greta Berger– podała mu dłoń.– Świetnie pan tańczy...

– Dziękuję. Niestety, dzisiejszego wieczoru już nie będę miał okazji... Muszę wracać do Berlina. Pani Esser! Raz jeszcze życzę wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Przy ludziach zawsze zwracali się do siebie oficjalnie. Tak było bezpieczniej.

– Może jednak zostanie pan do jutra– zaproponowała Marta.– To ryzykowne jechać po ciemku...

– Naprawdę nie mogę...

Był w dobrych stosunkach z redaktorem naczelnym swojej gazety. Nie zamierzał ich przez nikogo zepsuć. Dzięki nim nie tylko dostawał szybciej niż inni dziennikarze ważne informacje, ale miał również swobodne pole działania. Pracował tak, jak lubił. Poza tym praca w „Voelkischer Beobachter” stanowiła świetną zasłonę dla jego prawdziwej działalności.

Noc była pogodna. Niebo obsypane gwiazdami. Granatowe BMW mknęło szybko piękną drogą pośród lasów.

Hans lubił jeździć w mroku, kiedy światła reflektorów przecinały ostrą smugą ciemności wyłaniając z nich przydroże i zarysy drzew. Silnik pracował cicho, rytmicznie. Przez głowę przelatywały różne myśli. Przelatywały i ginęły ustępując drugim.

Przejechał już kilkanaście kilometrów, gdy dostrzegł po drugiej stronie jezdni samochód z włączonymi światłami. Obok stało kilku mężczyzn w czarnych mundurach SS. Dawali mu znaki, by się zatrzymał. Posłusznie stanął.